W numerze: Reportaż z wycieczki do Szwecji

Opłata uiszczona ryczałtem

Cena numeru 10 gr

POLSKA PRACY

DWUTYGODNIK

Nr 9 WARSZAWA, DNIA 1 LIPCA 1939 R. ROK I

Wojna będzie...

Znacie zapewne tę, prawdziwą zresztą, anegdotkę o przyprowadzonym przez wartownika do oficera kmiotku. Na zapytanie oficera o powód aresztowania, wartownik służbiście odpowiedział: „to defetysta, on powiada, że wojny nie będzie".

Anegdotka ta jest niezwykle charakterystyczną dla nastrojów panujących w naszym społeczeństwie. Dziś o tym, że nie będzie wojny może mówić tylko jakiś nieświadomy procesów dziejących się w świecie „kmiotek", nigdy zaś człowiek jako tako w nich zorientowany.

Na szczęście tych nieuświadomionych obywateli w Narodzie posiadamy bardzo niewielu, dlatego też śmiało możemy spoglądać w przyszłość.

Są prawdy wszystkim nam znane, które często jednak sobie powtarzamy. Powtórzmy więc sobie prawdę o bliskiej wojnie. Dlaczego wojna być musi? Zarzewiem jej będą oczywiście Niemcy. One to począwszy się rozkładać wewnętrznie po przegranej wielkiej wojnie użyły lekarstwa niezwykle silnego, które w mowie potocznej zwykliśmy nazywać „końskim". Organizm konia lekarstwo takie znosi, ludzki nie wytrzymuje.

Takim niewątpliwie „końskim" środkiem dla Rzeszy był totalizm — hitlerowski, charakteryzujący się, jak wiadomo, ograniczeniem do maksimum wolności i praw jednostki, przebóstwieniem wodza oraz państwa niemieckiego, uczynieniem tego państwa nadpaństwem, wreszcie teorią o „wyższości rasy germańskiej".

Taki ustrój udaje się utrzymać wyłącznie przy niezwykle wielkim napieciu energii całego narodu.

Nad tym, żeby napięcie to nie uległo obniżeniu czuwa w Niemczech specjalny aparat propagandowy. Wielkie napięcia mas mają jednak to do siebie, że utrzymać się przez czas dłuższy nie dają; w karnym i posłusznym narodzie niemieckim może dłużej niż w każdym innym, to jednak także nie na stałe. Poucza o tym historia. Wspomniany aparat propagandowy czyni atoli wszystko, żeby napięcie utrzymać jak najdłużej. Do tego potrzebne są coraz większe i silniejsze „sukcesy". Więc był anschluss z Austrią, potym Sudety, Kłajpeda, zabór Czechosłowacji. Żeby jednak te sukcesy odnosić, trzeba być uzbrojonym od zębów po pazury. Odmawia się więc jednostce niemal wszystkiego, aby prowadzić wyścig zbrojenia. Zagrożone przez Niemcy inne państwa nie mogą oczywiście pozostać nieuzbrojone. Oto geneza zbrojeń światowych. **O ile jednak inne państwa na skutek wzajemnej wymiany dóbr mogą zbrojenia wytrzymać przez czas bardzo długi, o tyle odosobnione ostatecznie Niemcy wyścigu tego tak długo nie wytrzymają.**



Polityka niemiecka nie będzie mogła swemu społeczeństwu rzucać przed oczy już nowych sukcesów, w tej chwili już one bez użycia nagromadzonej broni są absolutnie nie do osiągnięcia. **I tak Niemcy rozpoczną wojnę.** Przegrana Niemiec w tej wojnie jest oczywistą, nawet dla przedstawicieli władzy niemieckiej, niemniej musimy sobie zdawać sprawę z tego, że wojna będzie czynem rozpaczy reżimu hitlerowskiego, tak jak czynem rozpaczy jest skok człowieka z czwartego piętra z płonącego mieszkania.

Zdajemy sobie sprawę i z tego, że punktem uderzenia Niemiec może być nasza granica, względnie Wolnego Miasta Gdańska, którego nie oddamy.

Na granicy tej spotkają się Niemcy z niezwyciężonym wałem piersi i luf Polaków.

Jesteśmy gotowi do strzału w łeb każdemu, kto wychyli go poza naszą linię graniczną.

Duch, który nas w tej walce będzie ożywiał będzie zgoła inny od ducha niemieckiego. **My będziemy bronili własnej ziemi i honoru Narodu, ich gnać będzie pycha i pospolity strach przed głodem. Wojna więc będzie,** z tego sobie dobrze zdajemy sprawę. Wiemy także, dlaczego Niemcy ją wywołają. Powody te nic jednak nie mają wspólnego z tymi, które dla chwilowego przynajmniej uspokojenia swych coraz bardziej zniecierpliwionych mas podawać im będzie chytra propaganda niemiecka.

W obronie starszych pracowników

Jedną z naszych wielu bolączek, poruszanych również na Walnym Zwyczajnym Zjeździe Delegatów Zw. Zaw. Prac. Umysłowych ZPZZ w Katowicach, jest sprawa obniżenia wieku do otrzymania emerytury oraz związana z nią kwestia ochrony zatrudnienia starszych pracowników.

Pracownicze związki zawodowe już od lat zabiegają o obniżenie dotychczasowego wieku, lat 65, na 55 wiek życia, gdyż praktyka wykazuje, iż wobec tak wysokiej granicy wieku, z dobrodziejstw ustawy o emerytalnym zabezpieczeniu korzysta znikoma ilość ubezpieczonych.

Wszelkie dotychczasowe zabiegi związków pracowniczych, wszelkie memoriały i starania pozostały bez rezultatu.

A sprawa jest pilna.

Ustalona ustawą obecna granica wieku 65 lat życia, nie wytrzymuje żadnej krytyki.

Niepodległość Państwa Polskiego wykuwana była trudem, znojem i krwią od 1905 roku do 1920 roku. Taki szmat czasu, okres największych sił przyszłych emerytów, został wyekspansowany w walkach o niepodległość i wywalczanie zrębów granic Rzplitej.

Iluż dożyje do 65 lat, a jeśli tak, to iluż będzie zdolnych do pracy w tym wieku, by wreszcie doczekać się emerytury. Gdyby więc nie dało się już obniżyć granicy wieku, to należałoby chociaż obniżyć ją do lat 55 na okres przejściowy, na okres, gdy starsze pokolenie, przeżywając i biorąc udział w pracach niepodległościowych, w Wielkiej Wojnie i walkach o niepodległość i utrwalanie granic — wymrze, a ich miejsce zajmą, ci którzy wyrośli już w czasach normalnych.

Na tyle ustępstwa zasłużyli sobie chyba wszyscy.

Ze sprawą tak wysokiej granicy emerytalnej wieku, łączy się również problem zatrudnienia starszych pracowników.

Z praktyki i doświadczenia wiemy, że przemysł bardzo rzadko trzyma u siebie pracownika, który ma pięćdziesiąt kilka lat. Pracownika takiego, jako jednego z pierwszych umieszcza się na liście redukcyjnej, a motywy są zwykle takie, iż „i tak mu krzywdy nie zrobimy, bo dostanie emeryturę", ale jaka i w jakiej wysokości, to się pracodawca nie zastanowi, gdyż nie pamięta o tym, iż dopiero po ukończeniu 65-go roku życia, ma się pełne prawo do emerytury.

Oczywiście, iż przemysłowcom chodzi jedynie o to, by siłę starszą, lepiej płatną, zastąpić tańszą młodszą siłą.

Tymczasem polityka tego rodzaju jest wysoce błędna i szkodliwa z punktu widzenia całokształtu naszej gospodarki narodowej.

Ostatnie badania struktury ludności pod względem wieku wykazały niezbicie, że we wszystkich krajach nastąpiły ciekawe przesunięcia.

Przyrost naturalny ludności — nawet w Polsce do tej pory uprzywilejowanej — maleje przy równoczesnym spadku śmiertelności. W związku z tym, jako jedno z zagadnień czołowych wysuwa się problem „starzenia się" społeczeństw.

Ewolucja ta występuje zupełnie wyraźnie w krajach zachodnio - europejskich, gdzie przy spadku narodzin i jednoczesnej wysokiej kultury materialnej, nastąpiło znaczne zmniejszenie się śmiertelności. Objaw ten ostatnio dopiero dał się zauważyć w Polsce i to widocznie również wskutek podniesienia się poziomu kultury materialnej, bowiem, jak już na początku zaznaczyliśmy, pokolenie wojenne w Polsce tych dobrodziejstw narazie nie odczuwa, gdyż jest schorzałe, zniszczone fizycznie i nerwowo.

Jakkolwiek więc jest to objaw u nas zupełnie nowy, a więc i młody — że się tak wyrazimy — niemniej jednakże musimy się liczyć z przyszłością i poważnie się nad nim zastanowić.

Statystyki różnych krajów dowodzą, że wśród bezrobotnych największy odsetek stanowią pracownicy starsi powyżej 45 lat i ci nie mają już szans otrzymania pracy, gdyż nagół pracodawcy trzymają się tezy, iż mogą przyjąć do pracy tylko pracowników w wieku do 40-go roku życia, wolą bowiem zawsze młode, a więc bardziej produktywne siły.

Zagranica, dążąc do rozwiązania tego zagadnienia, zaprowadziła szereg środków ochronnych, a więc: starszy pracownik ma dłuższy okres wypowiedzenia, zakłady pracy muszą ustawowo zatrudniać pewien procent starszych pracowników (tak jak u nas inwalidów i niepodległościowców), udzielają subwencji na roboty i inwestycje pod warunkiem zatrudnienia pewnej, określonej ilości starszych pracowników — jednym słowem na każdym kroku pilnie się baczy, by liczba bezrobotnych starszych osób malała, by nie stawali się oni ciężarem dla społeczeństwa.

W Anglii i Stanach Zjednoczonych, w ostatnich czasach, rozpoczęto szeroką akcję propagandową, dowodzącą, iż zwalnianie z pracy starszych pracowników jest szkodliwe dla przedsiębiorców. Propaganda ta, umiejętnie przeprowadzona, dała poważne rezultaty.

U nas, problem zmniejszenia wieku upoważniającego do emertytury oraz ochrony pracy starszych pracowników, winien znaleźć rozwiązanie na drodze ustawodawczej. Związki pracownicze winne rozpocząć w tym kierunku należytą akcję, popartą przez swych posłów i senatorów.

H. H.

Nowy zamach na kieszeń ubezpieczonych na Zaolziu

Sprawa ubezpieczeń społecznych na Zaolziu do tej pory nie została tak załatwiona, jakby sobie tego życzył ogół ubezpieczonych, ani też nie rozwiązano szeregu zawikłanych kwestii, związanych bezpośrednio lub pośrednio z całokształtem zagadnień ubezpieczeniowych.

Odmienne od naszego ustawodawstwo czechosłowackie, dawało mieszkańcom Zaolzia, a więc w pierwszym rzędzie ubezpieczonym, wiele świadczeń. Obecnie niektóre z nich, po rozciągnięciu na Zaolzie polskich ustaw, odpadły i przyszły inne, nowe świadczenia, wynikające z dobrodziejstwa polskich ustaw.

Wiemy jednakże wszyscy, iż kwestią najbardziej palącą są sprawy związane z lecznictwem. Do szpitala, sanatorium, czy kliniki — aczkolwiek z niechęcią — lecz każdy musi w wypadku zachorowania iść. Opłaty za leczenie są na ogół wysokie, są one szczególnie wysokie na Zaolziu, jeśli się weźmie pod uwagę mizerne zarobki i stosunkowo wysokie koszta utrzymania.

Mając powyżej wyłuszczone względy na uwadze, zdawałoby się, iż miarodajne czynniki poczynią odpowiednie kroki celem obniżenia opłat za leczenie.

Tymczasem stało się coś wręcz przeciwnego. Ostatnio na Zaolziu odbył się zjazd dyrektorów szpitali w sanatorium w Jabłonkowie. Udział w zjeździe prócz dyrektorów szpitali, wzięli i odpowiedzialni kierownicy Ubezpieczalni Społecznych.

Głównym tematem obrady była kwestia opłat za leczenie. Mówcy stwierdzili kategorycznie, iż stawki pobierane dotychczas za leczenie są zbyt niskie i nie pokrywają kosztów leczenia. Przyczyna tego ma tkwić w znacznym podrożeniu środków leczniczych i medykamentów. Zebrani uchwalili rezolucję następującej treści:

„Do czasu ostatecznego ustawowego uregulowania kwestii ubezpieczenia społecznego i szpitalnego na Zaolziu zebrani przyjęli, że stawka za leczenie szpitalne na najniższej klasie winna wynosić 5 zł dziennie z tym, że stawka ta ma obowiązywać wstecz od dnia 1-go kwietnia br. oraz winna być stosowana tak do osób ubezpieczonych, jak i członków ich rodzin przez okres koniecznego leczenia szpitalnego.

Uchwała ta musi wywołać zdziwienie. Rozumiemy, że wzrosła drożyzna i że podniosły się ceny wszelkich medykamentów, ale dlaczego na tym ma cierpieć materialnie ubezpieczony oraz jego rodzina, ponoszący i tak wysoki ciężar różnorakich opłat na wszelkie ubezpieczenia.

Dlaczego również nie pozostawiono status quo do czasu ostatecznego ustawowego uregulowania kwestii ubezpieczenia społecznego i szpitalnego na Zaolziu?

A jeżeli już uczestnicy zjazdu chcieli koniecznie podwyższyć stawki za leczenie, to z jakiego tytułu mają one być podwyższone wstecz! Któż — wyszedłszy dzisiaj np. ze szpitala — ma teraz uiszczać dopłatę za leczenie. A może nie ma na to!

Sprawa ta powinna być poddana gruntownej rewizji, a ubezpieczeni winni zabrać w niej decydujący głos.

Jeśli grupa ludzi chce rozporządzać cudzymi pieniędzmi — niechaj to czyni roztropniej i rozważniej.

Do

Ministerstwa Opieki Społecznej

w Warszawie

W związku z wejściem w życie ustawy nakładającej obowiązek na pracodawców i pracowników zamieszkałych na Zaolziu do wyrównania zaległości na rzecz Funduszu Pracy wstecz od 1 stycznia 1939 r. odbyła delegacja pracowniczych związków zawodowych w składzie sekretarza ZPZZ. Juzonia Jana, PZP. Dr Gawlika, i kierownika ZZP. Wieczorka oraz sekretarza ZZP. Szostaka, jakoteż z udziałem Dyr. Rady Przemysłowców Górniczych i Hutniczych Śląska Cieszyńskiego p. inż. Blitka dnia 13 maja 1939 r. konferencję u p. Dyr. Obierka w Wojewódzkim Biurze Funduszu Pracy w Katowicach. Delegacja domagała się umorzenia dla świata pracy zatrudnionego na Zaolziu zaległości na rzecz Funduszu Pracy do 31 maja 1939 r.

Ma to tym większe znaczenie dla pracowników zatrudnionych w przemyśle górniczo - hutniczym na Zaolziu, że obecnie dochodzi do skutku zawarcie układu zbiorowego pracy, mającego regulować warunki pracy i płacy wstecz od 1 lutego 1939 r. Dotychczas pracownicy zaolziańskiego przemysłu górniczo - hutniczego otrzymują prowizoryczne pobory obliczone, czy to w hutnictwie na dawniejszych podstawach czeskiej umowy zbiorowej, czy też w górnictwie według norm ustalonych orzeczeniem arbitra z dnia 22 listopada 1938 r.

Z chwilą zawarcia układu zbiorowego pracy wynikną dla pracowników zatrudnionych w zaolziańskim przemyśle górniczo-hutniczym nadpłaty poborów za czas od 1 lutego 1939 r. wstecz. Jest zrozumiałe, że nałożony na pracowników ze Zaolzia obowiązek do wyrównania zaległości na rzecz Funduszu Pracy wstecz od 1.I. b. r. trafi boleśnie w świat pracy.

Jeśli się zważy dalej, że pracownicy Śląska Zaolziańskiego subskrybowali na równi z pracownikami z reszty terenów Polski według tych samych norm Pożyczkę Obrony Przeciwlotniczej, to wymagane obecnie od nich wyrównanie zaległości na rzecz Funduszu Pracy będzie dla nich tym dotkliwszym ciosem, iż subskrybowali P.O.P. w przewidywaniu uzyskania lepszych warunków płacy dzięki zawarciu umowy zbiorowej.

Popierając interwencję wspomnianej delegacji pracowniczej z dnia 13 maja 1939 r. podpisane związki zawodowe pracowników umysłowych, zrzeszające pracowników zatrudnionych na ziemi zaolziańskiej, upraszają uprzejmie o przychylne ustosunkowanie się tamt. Ministerstwa do prośby o umorzenie żądanych zaległości na rzecz Funduszu Pracy do 31 maja 1939.

Zaznaczamy, że p. Dr Obierek przyrzekł delegacji, iż Fundusz Pracy zrezygnuje z nadpłaty zaległości do 30 kwietnia 1939 r., z tym, iż od wszelkich wypłat uskutecznionych po 1 maja 1939 r. bez względu na to, czy dotyczą one okresów ubiegłych, będzie pobierana opłata na Fundusz Pracy. Z uwagi jednak na przyszłą nadpłatę poborów z tytułu zawarcia umowy taryfowej z mocą od 1 lutego 1939 r. prosimy o umorzenie opłat na Fundusz Pracy pracownikom zaolziańskim od wypłat dotyczących okresu od 1 lutego 1939. do 31 maja 1939 r.

Upraszając o łaskawe zakomunikowanie nam decyzji tamt. Ministerstwa możliwie w jak najrychlejszym terminie, kreślimy się

Z poważaniem

KOMISJA POROZUMIEWAWCZA
ZWIĄZKÓW ZAWODOWYCH
PRACOWNIKÓW UMYSŁOWYCH

Wspomnienia i nadzieje

Zwracamy uwagę naszych Czytelników na niedawno wydaną nową książkę znakomitego naszego pisarza, członka Polskiej Akademii Literatury, Juliusza Kaden-Bandrowskiego p. t. „Wspomnienia i nadzieje" (ukazała się jako Nr. 256 Biblioteki Uniwersytetów Ludowych nakładem Gebethnera i Wolffa). Wśród powodzi pojawiających się na rynku księgarskim publikacyj polskich i tłumaczonych, książka niniejsza wyróżnia się nie tylko walorami wysokiej miary artyzmu, ale jeszcze samym charakterem swojej treści, która może zaciekawić każdego.

„Wspomnienia i nadzieje" zostały napisane z okazji dwudziestej rocznicy wskrzeszenia Polski i, jak już na to wskazuje sam tytuł, odnoszą się właśnie do spraw, które wiązały się i wiążą z tamtą chwilą odzyskania Niepodległości oraz obecnym jej ugruntowywaniem. Taka książka dzisiaj, gdy wzrasta już i wchodzi w życie pokolenie, które nie zaznało ucisku niewoli, wychowując się już w atmosferze niepodległości, jest potrzebna, żeby przypomnieć chwałę czynów Legionu Piłsudskiego i te wszystkie postaci, które swoimi czynami wpłynęły na formowanie się wypadków dziejowych. Nie jest to jednak historia tamtych czasów, bo książka została przecież napisana przez literata. Ale książka ta jednak ukazuje piękny i wspaniały kształt historii, ale wdając się w rejestrację faktów, tak jakby to robił prawdziwy historyk, ale poprzestając na wywołaniu sugestią artystycznych środków tamtych chwil, które odsunięte od nas o perspektywę dwudziestolecia, stały się już wspomnieniami, ale wspomnieniami takimi, które pozwalają na wysnuwanie z nich przędzy nadziei. I trzeba stwierdzić, że właściwie do napisania takiej książki nie mógł być nikt odpowiedniejszy od Kaden-Bandrowskiego, pisarza, który już od zarania działalności niepodległościowej Piłsudskiego szedł z nią razem jako jej bard i kronikarz, czego pamiętnym wyrazem była wydana w r. 1915 książka pt. „Piłsudczycy", tworząca tę nową nazwę, która potem tak szeroko i powszechnie się przyjęła.

Na „Wspomnienia i nadzieje" składa się kilkanaście drobnych szkiców, w których snuje się historia najważniejszych dat legionowych, w których ukazują się naszym oczom niezapomniane postaci sławnych legionistów i postać samego Komendanta, w których wreszcie rozważane są te dzisiejsze posunięcia w wychowaniu i urabianiu charakteru obecnej młodzieży naszej, mogące stanowić dalszy ciąg tamtych wspaniałych tradycyj.

Książka zaczyna się od przypomnienia „tego dnia gromu i szczęścia" — dnia 6 sierpnia 1914 roku. Warto przytoczyć przesiąknięte wzniosłym uczuciem słowa pisarza, gdy pochyla się nad tamtą pamiętną datą:

„Są dni Historii, w których jak gdyby nad wszystkimi sprawami i nad wszelakim poczynaniem narodu zjawiał się mroczny duch: gdzie stąpi, zniszczy wszystko, gdzie tchnie, wytrawi myśl, rozkruszy wiązania uczynku, stłumi nadzieje, zadepcze wszelkie życie.

A są dni inne, w których jakby się wszystko co prędzej rozrastało i kwitło, w których, co liche, marne, złe, wypada ludziom z rąk, a samo dobro do tych rąk się garnie. Te dni, w których ku myślom żywa prawda zstępuje, objawia się rozkazem w sercach ludzkich, zda się w głębinach ziemi ojczystej drżeć i blaskiem szczęścia przez powietrze polatać.

To jest takie wielkie, jedyne, srogie, zarazem miłosierne, niedołężne a zarazem pod kapotą najlichszego prostaka bezpieczne, że ludzie stają wówczas olśnieni, ręce do góry wznoszą i boże głosy dokoła siebie słyszą i oddaliby wszystko, i ze łzami szukaliby, ktoby ich poprowadził ku zwycięstwu, o którym śnić nie śmieli, a które widzą w sobie samych i dokoła wszędzie, aż bolesne, tak bliskie.

Ten dzień po wielu latach, po wielu lat dziesiątkach, ten po wieku całym znów pierwszy i jedyny, ten dzień gromu i szczęścia, ten dzień żywotną prawdą niebotyczny, który na wieki pozostanie w następstwie wszystkich dni odrodzonej ojczyzny — to dzień szóstego sierpnia".

Poza wspomnieniami o walkach i poczynaniach Legionów, znajdujemy w nowej książce Kaden-Bandrowskiego także wspomnienia o chwilach mniej oficjalnych i uroczystych, o chwilach prywatnego niejako życia Legionów. Do rzędu tych wspomnień należą bardzo interesujące szkice o obchodzeniu imienin Komendanta w okopach, o stosunku Piłsudskiego do żołnierzy i Jego umiłowaniu poszczególnych oficerów legionowych, jak Sosnkowskiego, Berbeckiego, Fleszara, Wyrwy-Furgalskiego, Lisa-Kuli, a przede wszystkim najbardziej ukochanego swego oficera Władysława Beliny- Prażmowskiego.

Specjalny charakter ma wspomnienie poświęcone postaci obecnego Marszałka Polski i Naczelnego Wodza Śmigłego-Rydza.

„Każdy z nas inaczej go pamięta: ci, którzy byli pod Laskami, pod Łowczówkiem, inaczej, a ci, którzy go zobaczyli pod Kamieniuchą, pod Kołodziejami, powiedzą co innego, a znów co innego zapamiętali, którzy z nim szli na Wilno, pod Kijów i bili się pod Borodianką. Wszyscy po swojemu odczuwali go i rozumieli, ale na jedno zgadzają się od razu: że to jest wódz.

Zgadzali się na to dawniej jeszcze, przed Polską niepodległą: że gdyby Piłsudskiego zabrakło — wtedy Śmigły. Te dwa słowa wymawiało się w najcięższych okolicznościach, gdy Piłsudskiego w wojsku legionowym nie było, a sprawa niepodległości stawała się nieomal beznadziejną.

Skądże ta jednomyślność żołnierzy, spiskowców ówczesnych i działaczy? Przecież Śmigły, jak wszyscy choćby najwybitniejsi z pokolenia Piłsudczyków, nie mógł pracować i walczyć tak szeroko, rozgłośnie, by już wtedy danym mu było błysnąć wielkim blaskiem samodzielności. Działał i walczył w cieniu Piłsudskiego. Poczytywał sobie za największą chlubę skromne trwanie w cieniu ukochanej Wielkości.

Kto na te sprawy patrzył z bliska, ten wie, jakim był Śmigły wykonawcą. Wszystko oddawał z siebie na rzecz Wodza, samemu sobie nie przypisując niczego. A jednak wiedzieliśmy już wtedy wszyscy, że Śmigły to jest wódz i że gdyby Piłsudskiego zabrakło — wtedy Śmigły".

Poza tymi wspomnieniami o żołnierskich czynach i żołnierzach, na kartach książki Kaden-Bandrowskiego pojawiają się jeszcze postaci ze sfery literatury i sztuki, co zresztą wychodzi na jedno, bo nie było niemal żadnego w owych czasach artysty, który by nie był równocześnie żołnierzem. A więc mowa tutaj o poecie Józefie Mączce, o malarzu I-ej Brygady Leopoldzie Gottliebie, dalej o Wacławie Sieroszewskim, Piotrze Choynowskim, Andrzeju Strugu i Leonie Wyczółkowskim.

Zamykają książkę szkice poświęcone najmłodszemu pokoleniu. A więc mowa tutaj o junakach i obozach junackich i ich znaczeniu oraz o znaczeniu służby wojskowej.

Jeszcze raz trzeba podkreślić, że ze względu na swoją wartość i ze względu na charakter treści, jaką przynosi, książka „Wspomnienia i nadzieje" zasługuje nie tylko na przeczytanie, ale także na włączenie do każdej biblioteki domowej, nie mówiąc już o bibliotekach publicznych.

(mi)

Usprawnienie życia gospodarczego

to wzmożenie obronności Państwa

Ruch spółdzielczy jest ściśle związany z całością zagadnień naszego państwa, boć jest jego częścią i pragnie być tą lepszą częścią. Pragnie wnosić wartości istotne i duże.

W obecnej chwili, kiedy cały naród przyjął postawę gotowości odporu na wypadek agresji i do odporu tego intensywnie się przygotowuje, warto zastanowić się co daje spółdzielczość w tej tak decydującej i ważnej chwili.

Nie trzeba chyba powtarzać, bo powiedziano to już wiele razy, że o zwycięstwie przyszłych zmagań zadecyduje nie tylko doskonała pod każdym względem armia, lecz całe społeczeństwo.

Społeczeństwo, żeby zachować postawę czynną, gotową do odporu i mocne nerwy, nie może się bać widm, jakimi straszy wojna. Nie może lękać się głodu, nie może myśleć ze zgrozą o paskarstwie i o wyzysku, nie może mieć niewiary w umiejętność i sprawiedliwość rozdziału artykułów spożywczych przy aprowizowaniu kraju.

W warunkach naszych, ponieważ nie jesteśmy mocnym i uświadomionym gospodarczo organizmem społecznym, nie umiemy ani racjonalnie gospodarować, ani planować zakupów i przewidywać — łatwo jest o panikę, wykupywanie zupełnie niepotrzebnie i bezplanowo towarów codziennego użytku, a co za tym idzie opustoszenie półek i składów sklepowych, stwarzanie pozorów braku niezbędnych produktów. Za wszystkim tym idzie — upadek ducha.

W przewidywaniu tych szkodliwych warunków bardzo ważną rolę odegra spółdzielczość spożywców, na wielką miarę zakrojona organizacja społeczno - gospodarcza. Organizacja, której możemy ufać, że we własnych zakładach wytwórczych w wypadku wojny, wyprodukuje zdrowe artykuły zastępcze a nie namiastki.

Ufać spółdzielczości możemy między innymi dlatego, że nie jest ona zaangażowana w zyskach. Boć pocóż miałaby się ubiegać o zyski, skoro nie zatrzymuje ich dla siebie, lecz zwraca swym członkom (zwrot od zakupów).

Jesteśmy krajem rolniczym, głód nam nie grozi, produktów rolnych mamy poddostatkiem. Zagrażać nam jeno mogłyby:

1) zła organizacja aparatu aprowizacyjno-rozdzielczego,

2) zła wola jednostek, a więc paskarstwo, gromadzenie i złośliwe przetrzymywanie towarów w celu sztucznego podnoszenia cen.

A wiemy, że nawet chwilowy brak żywności stwarza panikę, wywołuje przygnębienie i osłabia ducha.

Nie trzeba chyba tłumaczyć, że tym niebezpieczeństwom przeciwstawi się planowa gospodarka spółdzielni spożywców jako aparatu rozdzielczego i spółdzielni rolniczych jako aparatu zbiorczego.

Spółdzielczość przez wprowadzenie do życia gospodarczego planowości, sprawnego i sprawiedliwego rozdziału żywności, przyczyni się w decydujący sposób do utrzymania odpornej postawy społeczeństwa, stworzy dla armii mocne zaplecze, uwolni żołnierza od troski o los rodziny.

Spółdzielczość usprawnia życie gospodarcze i wzmaga obronność Państwa.

Trzeba tu jeszcze powiedzieć, że spółdzielczość, to my. Od naszego współdziału i naszej pracy zależy jakość wyników.



Z wiatrem od morza...

Wrażenia z I Robotniczej Wycieczki Morskiej OZN

Pierwsza robotnicza wycieczka morska jest poza nami. Można teraz robić bilans wrażeń, których dostarczyła, można jeszcze raz dzień za dniem przypominać jej treść jak obrazy jakiegoś niezwykłego i frapującego filmu.

Otóż, kiedy ogarniać myślą tę wycieczkę, to dochodzi się do przeświadczenia, że nie zaczęła się ona dopiero w chwili odbijania „Pułaskiego" z gdyńskiego portu. Początek ten był o wiele wcześniejszy. Wycieczka zaczęła się właściwie w tym momencie, kiedy uczestnicy znaleźli się w wagonach, by z Kowla, Wilna, Rzeszowa, Katowic, Łodzi, Warszawy, Poznania, Torunia, podążyć do Gdyni.

Jechałem pociągiem warszawskim i byłem świadkiem bardzo znamiennego i godnego podkreślenia zjawiska. Oto uczestnicy wycieczki samorzutnie odnajdywali się w tłumie pasażerów, zbliżali się do siebie, zaznajamiali się ze sobą, gwarzyli i wiązali mocnym uściskiem dłoni, pieczętując przyjaźń butelką lemoniady, po którą wychodziło się na perony mijanych stacyj z dusznych i rozprażonych od skwaru wagonów.

Zjawisko to jest o tyle znamienne, że odsłania się w nim tajemny charakter naszego świata pracy. Nie znamy się porozrzucani przecież w różnych odległych punktach Rzeczypospolitej, ale bynajmniej nie jesteśmy dla siebie obcy. Toteż gdy szczęśliwy zbieg okoliczności pozwala nam zetknąć się ze sobą, nie potrzebujemy przełamywać żadnych oddzielających murów i wystarczy wyciągnięcie ręki, wystarczy jedno słowo, by stało się obecne między nami to, co nas naprawdę łączy i co z nas czyni służebników jednej wielkiej sprawy.

I jeśli wycieczka ta, zorganizowana z szczęśliwej inicjatywy Wydziału Propagandy Obozu Zjednoczenia Narodowego, miała być poza wypoczynkiem i pokazaniem nieznanego kraju okazją do manifestacji tej łączności, to trzeba stwierdzić, że cel ten został w zupełności osiągnięty.

Wycieczka mianowicie przestała być dla robotnika imprezą, a stała się wydarzeniem.

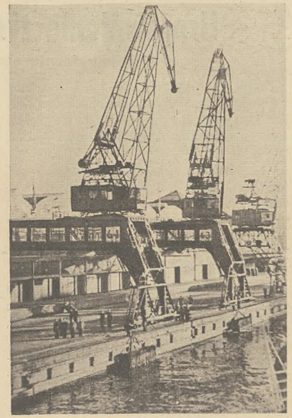
Niech teraz zawistne pisma opozycyjne i klasowe pienią się w swoim ciasno-małostkowym zacietrzewieniu, próbując w stosunku do wycieczki bezczelnej demagogii i jeszcze bezczelniejszych szkalowań. Ta metoda pozostanie tylko metodą. Robotnicy nasi rozumieją obecnie, na czym zasadza się istota stanu rzeczy i jakimi drogami i za czyim pośrednictwem dokonuje się u nas istotne wyrównanie ustroju społecznego. Robotnicy przejrzeli już tanią grę, w której chodzi o wykorzystywanie świata pracy dla celów politycznych a nie dla słusznej obrony jego interesów.

Jeżeli powiedzieliśmy o nabraniu przez wycieczkę charakteru wydarzenia to dlatego, że właśnie robotnicy zrozumieli dobrze wagę tego momentu, gdy pojawił się wspaniały pomysł zorganizowania takiej wycieczki.

Oto w państwie, w którym równowagę ustroju pragniemy oprzeć na uznaniu pracy jako najwyższej wartości, nie szermujemy bynajmniej słowami, ale myślimy także o tym, żeby robotnikowi pod każdym względem umożliwić to, do czego ma prawo, a o czym wskutek trwania nieprzyjaznych warunków nie mógłby nawet marzyć. Dlatego też wycieczka musi być uznana za punkt zwrotny w historii walk o słuszne prawa świata pracy.

Nic dziwnego więc, że manifestowano wzbierającą w sercu dumę ze swojego państwa, w którym troska o robotnika dzięki właściwemu nastawieniu otrzymuje obecnie taki niebywały wyraz.

W Gdańsku, przez który przejeżdżaliśmy o świtaniu, nie wytrzymano. I zupełnie niespodzianie pod monotonny wtór stukotu kół pociągu wyrwała się mocna, zawadiacka, nieustępliwa melodia „Warszawianki". Oto orkiestra robotnicza ustawiła się po jednym w rzędzie okien wagonów i wspomagana gromkim śpiewem współtowarzyszy grała nieprzerwanie aż do miejsca granicznego, tego widomego znaku wyrwania rdzennie polskiej ziemi z żywego organizmu Rzeczypospolitej. Kto słyszał jak uporczywy refren: „Hej, kto Polak na bagnety!" leciał ku uśpionym pod cieniem flag ze swastykami domom gdańskim, ten nie zapomni już chyba tej jedynej w swoim rodzaju i jedyną treść manifestującej chwili.



Krany portowe w Gdyni.

„Pułaski" żegna Gdynię

Można by właściwie powiedzieć równie dobrze: Gdynia żegna „Pułaskiego".

Na pokładzie statku zgromadziło się tysiąc prawie ludzi, którzy z niecierpliwością załatwiali wszystkie formalności i z pośpiechem lokowali swoje manatki w kabinach, by potem czekać równie niecierpliwie chwili, w której nastąpi odjazd.

Pytania najróżnorodniejsze niby rój pszczeli latają w powietrzu. Prawie wszyscy pierwszy raz znaleźli się na statku, a wielu pierwszy raz dopiero zobaczyło morze. Ciekawić więc muszą wszystkie rzeczy, wszystkie szczegóły.

Na peronie dworca morskiego przygrywa orkiestra marynarzy, której z „Pułaskiego" odpowiada nasza orkiestra złożona z robotników ze zbrojowni.

Wreszcie włączają megafony. Przemawia na początku inicjator i kierownik wycieczki poseł Tadeusz Żenczykowski. Megafon niesie daleko mocne słowa o Polsce, o robotniku, o pracy i wczasach. Co chwilę zrywa się burza oklasków i zagłusza zupełnie donośny głos megafonów. Przemawiają jeszcze działacze ozonowi, dyrektor linii Gdynia — Ameryka, następnie stary górnik z Zaolzia. Okrzyki, wiwaty, orkiestra. I oto odjazd wycieczki całkiem niespodzianie przemienił się w uroczystość. Nie może to zresztą dziwić wielce, jeżeli zważy się niezwyczajny charakter wycieczki.

Wreszcie i pomosty zostają wciągnięte, liny przytrzymujące statek odcumowane, maszyny puszczone w ruch. Holownik „Tytan" przystępuje do swego zadania wyprowadzenia „Pułaskiego" z portu.

Przy dźwiękach hymnu narodowego oddalamy się od brzegu. Na dworcu zebrała się spora gromadka ludzi. Idą za oddalającym się statkiem aż do końca peronu i powiewają ku nam chusteczkami. Niektórzy wdrapali się aż na dach hali dworcowej. Tak oto żegnała nas Gdynia.

„Pułaski" mija falochrony, avant-port, wychodzi na redę, żegna się z holownikiem i zaczyna sam już żeglugę ku dalekim brzegom Szwecji. Gdyński port staje się coraz mniejszy, chociaż przy tym właśnie można ogarnąć całą jego wspaniałą i imponującą perspektywę najeżoną dźwigarami i blokami. Mijamy zdaleka stojące tuż przy porcie okręty wojenne, na horyzoncie oglądamy wygiętą jak kształt ogromnego bumerangu linię półwyspu helskiego z bielejącymi się domkami jego wiosek, z wieżami jego latarń morskich, z zielenią jego poszycia leśnego. Ożywienie uczestników wycieczki trwa nadal, a kto wie czy nawet nie wzrasta. Nikt nie schodzi pod pokład, wszyscy poddają się pierwszemu tchnieniu morza przylatującemu z otwierających się wielkich bezbrzeży . Tak ubiega godzina, druga, trzecia. Bez lornetki nie można już dojrzeć nawet ostatniego cyplu Helu. Dookoła otwiera się teraz całkowicie zaledwo w okolu widnokręgu mogąca się pomieścić pustka toni morskiej.

Wesoło żeglujmy, wesoło...

Jeszcze oczy wpatrują się w miejsce, gdzie zniknął ląd, jeszcze spojrzenia obiegają horyzont, czy nie znajdą jakiegoś zarysu, o który mogłyby się zaczepić, ale już coraz częściej odrywają się ludzie, by zejść pod pokład, by przysposobić się do tej nowej sytuacji życia przez dwadzieścia osiem godzin na statku żeglującym po pustaci morskiej.

I właściwie od razu przyzwyczailiśmy się do tych nowych, niecodziennych warunków. Pomogło zresztą w tym sprężyście działające kierownictwo, które teraz bierze wszyskie sprawy w swoje ręce i baczy, żeby



Latarnia wejściowa i falochron w Gdyni.

wszystko szło normalnym tokiem. I wszystko istotnie układa się doskonale, normowane instrukcjami podawanymi przez megafon.

Na pokładach stewardzi (t. j. służba statkowa) rozkładają teraz leżaki. Można się opalać albo wchłaniać mokry i gorzki od jodu wiatr morski. Rozpoczyna się więc to, co było jednym z celów tej wycieczki — wczasy morskie.

— Czy to mogłem pomyśleć — podsłuchuję, jak sąsiadowi zwierza się jakiś stary hutnik ze Śląska — że kiedyś jeszcze będę polskim statkiem podróżował po naszym Bałtyku?...

Na pokładzie ruch. Marynarze wypuszczają gołębie pocztowe, aby poleciały z wieścią do pozostawionego za nami kraju. Patrzymy na ten piękny widok. Uwolnione gołębie wzbiły się w trzepocie skrzydeł do góry, zakręciły dookoła masztu, skryły się w chmurze dymu, którą przyniósł porywisty wiatr, a wreszcie zadecydowały kierunek, oddalały się w stronę ojczyzny, stały się maleńkimi punkcikami ruchomymi, zniknęły. Ale nie wszystkie. Oto dwa gołębie wracają z powrotem. Nie potrafiły się zorientować, czy też nie mają sił na kilkadziesiąt-kilometrową drogę? Kołują nad statkiem, kołują i zmęczone siadają wreszcie.

Ubiegają godziny: morze, morze, morze.

Ujęte w karby toczy się życie na statku swoim trybem. Stewardzi gongiem wzywają do sal jadalnych na obiad. Megafony oznajmiają polecenia kierownictwa. Na pokładach przednich odbywają próby chóry i orkiestra. W basenie napełnionym wodą pluszcze się wielu amatorów. Pod wieczór wszyscy rozchwytują pierwszy numer gazetki pokładowej „Wczasy morskie". Znowu gongi stewardów — teraz wzywają na kolację.

Po kolacji odbywa się wieczór artystyczny, zorganizowany przez „Robotnika Polskiego". Wieczór ten nawiązuje do tradycji poprzednich artystycznych poranków robotniczych, odbywających się w Warszawie. Wyjaśnia to w słowie wstępnym naczelny redaktor naszego pisma.

— Robotnik musi mieć swoje prawa uczestniczenia w narodowym dorobku kulturalnym! — słyszymy mocne słowa i zrywający się w odzewie huk oklasków.

Występuje chór robotniczy, występuje orkiestra robotnicza, oraz dwoje artystów: pp. Chmurkowska i Poreda. Każdy występ budzi silne poruszenie w ściśniętym w sali tłumie słuchaczów i jest nagradzany żywymi brawami. Obok występów czysto rozrywkowych, jest także część poważna, przeniknięta akcentami ideologicznymi P. Poreda recytuje wiersz poetki Kazm. Iłłakowiczówny „Będziemy się bili", który wywołuje niesłychany oddźwięk. Potem słuchamy fragmentu „Wiatru od morza" Żeromskiego. Fragment mówi o wydzieraniu Prusakom przez Dąbrowskiego Gdańska. Głos aktora drży i łamie się od wzruszenia. Jest cicho. Wszyscy myślą o aktualności słów wielkiego pisarza. I w tej ciszy, która wszystkimi owładnęła, słyszeć daje się podchodzący do okien sali wiatr od morza, wiatr naszego Bałtyku, w którego tchnieniu tym większej wymowy nabierają słowa wypowiadane skupionym głosem aktora.

Z sercem rozedrganym od uczuć wychodzą wszyscy na pokład, by jeszcze raz popatrzeć na to morze, o którym myślą po usłyszanych przed chwilą słowach. Dopełniła się już w międzyczasie noc, rozsnuwająca swoje mroki. Pełgają na olbrzymiej kopule nieba gwiazdy i migocą w ich świetle obłym przewalające się z szumem za burtą fale. Morze, morze, morze...

Spoglądamy na panoramę Sztokholmu

Następnego dnia, gdy zrezygnowano z bezskutecznego rozglądania się po widnokręgu, pojawiły się koło statku mewy. Powietrze przepełniło się od ich ostrego skwiru. Mewy — to znak bliskiego lądu. Patrzymy więc uważnie. Oto z daleka przesunęliśmy się koło wyspy Gotland, a wreszcie ukazały się zarysy lądu szwedzkiego, ku któremu poczęliśmy się zbliżać. Ląd okazał się małymi, przybrzeżnymi wysepkami rozsianymi bardzo gęsto obok siebie i wysuniętymi jak gdyby na zwiady przed stały ląd. Cieśniną, jaka się między nimi otwarła, cieśniną urozmaiconą widokami wysepek bądź porośniętych chojarami, bądź ukazujących pobudowane tam pensjonaty, jechaliśmy jeszcze do Sztokholmu cztery prawie godziny.

Z domków na mijanych przez nas wysepkach powiewały ku naszej biało-czerwonej banderze powitania chusteczkami. Tak Szwedzi manifestowali swoją sympatię.

Wreszcie wpływamy do zatoki morza Meler, zwanego także jeziorem, a oblewającego rozrzuconą na kilku wyspach panoramę Sztokholmu. Cel podróży został osiągnięty. Oglądamy widoczną z trzech stron barwną panoramę portową stolicy Szwecji. Widać oto z daleka błyszczący złoto czub wieży nowego ratusza, widać odległe wzgó-



Bawimy się na pokładzie...



Podczas próbnego alarmu.

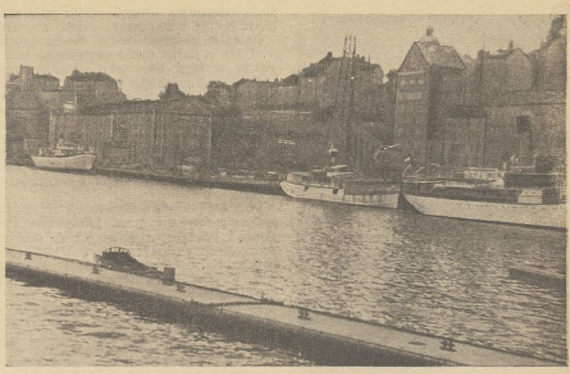


Nasza orkiestra gra

rze Skansenu, widać kilka okrętów wojennych i łodzi podwodnych wystawionych na widok bez żadnych zastrzeżeń. Port zupełnie inny, niż gdyński. Nie jest to właściwie nawet port w nowoczesnym tego słowa znaczeniu, ale tylko podchodzący ku morzu malowniczy brzeg miasta, brzeg piętrzący się ogromną skałą a potem nisko pochylający ku liżącej mu stopy wodzie. O charakterze portowym tego brzegu mówi jedynie kilka dźwigarów oraz kilka przycumowanych statków. Wszakże statków niewiele, a i to przeważnie szwedzkie (kraj ten ma bowiem inne jeszcze porty, które są ważniejsze od stołecznego), jeden towarowy ze swastyką. Wszystkie statki małe. Na tym tle nasz „Pułaski" musi wydawać się chyba olbrzymem i musi budzić swym przybyciem zrozumiałe zainteresowanie.

Przybyliśmy krótko po południu. W porcie przywitał nas min. Potworowski, poseł R. P. w Sztokholmie. Niebawem zeszliśmy na ląd i rozdzieleni na grupy, udaliśmy się zwiedzać miasto. *c. d. n.*

(EM.)



Fragment portu w Sztokholmie.

Interesujemy się sportem

Okres dwutygodniowy, który nas dzieli od poprzedniego numeru, w którym robiliśmy z naszymi czytelnikami bilans nadzwyczajnych wydarzeń sportowych poprzednich dwóch tygodni, — obfitował także w bardzo emocjonujące wydarzenia.

Przede wszystkim wspomnieć trzeba znowu Janusza Kusocińskiego, który biegając dnia 16 bm. w Sztokholmie pobił niedawno ustalony przez siebie samego rekord Polski na 5000 m. Biegacz nasz został przez Szwedów zaproszony do wzięcia udziału w ramach tradycyjnych ich „Igrzysk Czerwcowych" w biegu na 1500 m. Później bez jego wiedzy zmieniono dystans na 5000 m. Podkreślić należy sportową postawę Kusocińskiego, który, mimo że nie przygotowywał się do tego dystansu, nie odmówił jednak swego startu, nie chcąc sprawiać zawodu organizatorom i publiczności, która w liczbie 15 tysięcy zgromadziła się, by oglądać pojedynek naszego biegacza z zawodnikami szwedzkimi.

Konkurencja, w której startował Kusociński, wydawała się zupełnie niegroźna. Ale oto nieoczekiwanie niemało kłopotu sprawił naszemu asowi młody biegacz szwedzki Tillman, z którym czynniki sportowe wiążą wielkie nadzieje. Tillman dysponuje ogromną wytrzymałością i doskonałą kondycją, pozwalającą mu wytrzymać tempo. Jest to jednak jeszcze zawodnik pozbawiony rutyny. W czasie biegu w Sztokholmie objawiło się to w ciągłej, uporczywej nawet jego chęci prowadzenia biegu. Kusociński wysunął się na czoło zaraz od startu, nadając raczej średnie tempo, ale wobec takiego nastawienia Tillmana pozwolił mu po okrążeniu wyjść na czoło i dalej bieg prowadzić. Taka sytuacja dogadzała naszemu biegaczowi, który idąc krok w krok za Szwedem i kontrolując na zegarku czasy okrążeń przynaglał go niekiedy, żeby biegowi nadać odpowiednie tempo. Stawka reszty biegaczy szwedzkich odpadła zaraz po kilku okrążeniach, nie wytrzymując tego tempa, a właściwa walka toczyła się jedynie między Kusocińskim a Tillmanem. Międzyczasy biegu były doskonałe: 1500 m — 4,17,4, a 3000 m — 8,40,4. Czasy te były świadectwem i zapowiedzią, że powinien paść wynik rekordowy. Ale Kusociński, który kontrolował jedynie czasy poszczególnych okrążeń, nie zdawał sobie z tego sprawy. Biegł więc nie żeby osiągnąć jakiś czas, ale po to jedynie żeby zwyciężyć. Tillman trzymał się nadspodziewanie dobrze. Kiedy w pewnym momencie Kusociński spróbował wyjść na czoło niezmordowany Szwed odpowiedział potężnym atakiem, utrzymując nadal prowadzenie. Nawet na ostatnim okrążeniu Szwedowi starcza tyle sił, by odeprzeć ponowny atak Kusocińskiego. Wywołało to zrozumiałe napięcie widowni, która śledziła walkę. Ale ostatni zryw finiszowy „Kusego" na 200 metrów przed metą pozostał już nieodparty. Polak bez trudu mija Szweda, odsadza się od niego w mgnieniu oka o dobre pięć metrów i już niezagrożony, zwalniając nawet wyraźnie przed metą, kończy bieg jako pierwszy. Toteż wielkie było zdumienie naszego biegacza, gdy wreszcie zakomunikowano mu wynik biegu: 14,24,2. Wynik ten, gdyby równocześnie w Helsinkach Maeki i Pekuri nie podjęli próby pobicia rekordu świata (próba jak wiadomo się udała — Maeki miał wynik 14,08,8, a Pekuri, zwycięzca Kusocińskiego z Helsinek, 14,16,2, co jest także czasem lepszym od rekordu Lehtinena z 1932 r. wynoszący 14,17) — sztokholmski wynik Kusocińskiego byłby najlepszym w obecnym sezonie wynikiem. Ale i tak wynikiem tym wpisał się nasz biegacz po tylu latach przerwy, kiedy już zaczynało się wątpić w możliwość jego powrotu do czynnego życia sportowego, wpisał się do extraklasy biegaczy światowych. On jeden też może zagrozić biegaczom fińskim, którzy, jak wiadomo na długich dystansach dzierżą prym od wielu lat przez nikogo niezagrożeni.

Jeżeli już jesteśmy przy ocenie tego fenomenalnego wyniku, to dodajemy jeszcze, że jest to na liście rekordowej dystansu 5000 m. wynik 8 z rzędu. Rekordzistą jest Maeki z wynikiem 14,08,8, dalej Pekuri — 14,16,2, Lehtinen — 14,17 (rekord w r. 1932), Isohollo — 14,18,3, Salminen — 14,22, Hökert — 14,22,2, Ritola — 14,23,2. Wszystkie te nazwiska, to biegacze fińscy. Hegemonia, jak można ocenić, przytłaczająca. Dalej idzie Kusociński, potem Szwedzi Tillman i Jonsson, potem Amerykanin Hill, potem Japończyk Murakoso, znowu Finowie Askola i Tuominen, Amerykanin Lash, Fnilandczyk Kurki, Anglik Ward i wreszcie jako dziewiętnasty Noji ze swoim wynikiem 14,33,4 z Olimpiady w Berlinie. Rekord Nurmiego w r. 1924 wynosił 14,28,2 i był oficjalnie niepobity aż do r. 1932.

O dobrej formie Kusocińskiego świadczy także jego występ w dwa dni później w Wyborku w Finlandii w biegu na 5100 m., w którym spotkał się z najlepszym biegaczem fińskim na tym dystansie Sarkamą. I tym razem nasz biegacz zdobył palmę pierwszeństwa. Wynik 3,54,4 gorszy jest zaledwo o 0,4 sekundy od własnego rekordu Polski, abyt osiągnięty w bardzo trudnych warunkach. W takim stanie rzeczy należy oczekiwać w najbliższym czasie pękania dalszych rekordów Polski na długich dystansach. Możemy się w każdym bądź razie cieszyć, że odzyskaliśmy napowrót zawodnika, który zmierzyć się może z powodzeniem z elitą międzynarodową.

W omawianym okresie polscy tenisiści wzięli udział w tenisowych mistrzostwach Francji, odbywających się w Paryżu. Występy te przyniosły nam pewne sukcesy, potwierdzające, że tenis polski, przynajmniej męski, idzie stale w swym rozwoju ku górze. W grze pań Jadwiga Jędrzejowska przegrała w finale z Francuzką Mathieu, do której zresztą nie miała nigdy szczęścia nawet gdy stała dwa lata temu u szczytu swej formy, której dotąd nie potrafiła odzyskać. Wicemistrzostwo Francji jest już jednak dużym postępem naszej tenisistki po zmarnowanym zeszłorocznym sezonie. Z tą Mathieu zdobyła Jędrzejowska w grach podwójnych pań tytuł mistrzowski. Ignacy Tłoczyński jeszcze raz dowiódł, że forma pokazana na meczu z Niemcami, gdy pokonał Menzla i Henkla, nie była tylko przebłyskiem. W mistrzostwach Francji nasz mistrz zaprezetował się doskonale, bijąc ze znanych graczy pierwszej klasy m. in. Jugosłowianina Mitica, po zaciętej walce, a uległ dopiero finaliście amerykaninowi Riggsowi, w którym znawcy chcą widzieć przyszłego mistrza świata. Doskonale spisała się także nasza para Tłoczyński i Baworowski, plasując się ostatecznie po kilku dobrych grach na trzecim miejscu; występ ten uważać należy za sukces tym więcej, że dotychczas nasz dubel nie przynosił powodów do zadowolenia. Obecnie tenisiści nasi wyjechali do Anglii, by wziąć udział w Wimbledonie.

Na zakończenie wypada wspomnieć o międzynarodowym meczu w szczypiorniaku między reprezentacją Polski i Szwecji, w którym zwyciężyliśmy w stosunku 8:6. Na poprzedniorocznych mistrzostwach świata Szwecja zajęła 4 miejsce, a my dopiero 7, należy więc to zwycięstwo uważać nie tylko za sukces ale i za świadectwo rozwoju.

Apel do Kolegów!

Nawiązując do spraw prasowych, poruszonych na Walnym Zwyczajnym Zjeździe Delegatów Związków Zawodowych Pracowników Umysłowych Z. P. Z. Z., odbytym w dniu 4-go czerwca w Katowicach, Redakcja wzraca się do wszystkich Kolegów, by utrzymywali jak najściślejszy kontakt z nami.

Wszelkie sprawy z terenu, prosimy podawać nam do wiadomości w czasie możliwie szybkim.

Jednocześnie Redakcja nasza otwiera dział porad prawnych. Na wszelkie pytania, umieścimy na łamach naszego pisma odpowiedzi, pod inicjałami, jakie sami sobie Koledzy wybiorą.

Prosimy również o donoszenie nam o wszelkich trudnościach terenowych, byśmy mogli je odpowiednio zwalczać i im przeciwdziałać.

Wszelkie korespondencje prosimy nadsyłać pod adresem: Związek Zawodowy Pracowników Umysłowych ZPZZ, Katowice, ul. Matejki 2 — Dział Rdekacyjny.

Z ŻYCIA ODDZIAŁÓW

NOWY ZARZĄD GŁÓWNY ZWIĄZKU ZAWODOWEGO PRACOWNIKÓW UMYSŁOWYCH ZPZZ.

12-go czerwca br. odbyło się w lokalu generalnego inspektoratu Związku Zawodowego Pracowników Umysłowych ZPZZ. w Katowicach przy ul. Matejki 2 zebranie nowowybranego Zarządu Głównego, zwołane celem dokonania wyborów Prezydium Zarządu Głównego. Zebranie zagaił prezes poseł J. Trojok, sekretarzował red. H. Hauke.

Na zebraniu chodziło o wybranie trzech wiceprezesów, skarbnika i sekretarza oraz ich zastępców.

Pierwszym wiceprezesem został wybrany kolega Mieczysław Kopiec, drugim — kol. Franciszek Balcarek z Zaolzia, trzecim — kol. Eugeniusz Zygmund. Sekretarzem obrano kol. Zygmunta Martina, zastępcą kol. Hermana Webera, skarbnikiem kol. Janika Emila, zastępcą — kol. Stysia Pawła, jako członkowie do Prezydium wybrani zostali kol. Br. Górecki i na zastępcę kol. Skarszewski, obaj z Zagłębia Dąbrowskiego. W skład Prezydium wszedł z urzędu, jako referent prasowy, kol. red. H. Hause.

UTWORZENIE ODDZIAŁU ZWIĄZKU ZAWODOWEGO PRACOWNIKÓW UMYSŁOWYCH ZPZZ. W BĘDZINIE.

31-go maja odbyło się zebranie pracowników umysłowych Fabryki Kabli i Drutu w Będzinie — w lokalu własnym Związku przy ulicy Żytniej nr. 10, na którym wszyscy zebrani uchwalili przystąpić do Polskiego Związku Zawodowego Pracowników Umysłowych ZPZZ., tworząc Oddział Związku. Wybrany Zarząd ukonstytuował się w sposób następujący: prezes — kol. Nowakowski Wincenty, wiceprezes — kol. Bogacz Wojciech, sekretarz — kol. Sitkówna Irena, skarbnik — kol. Woliński Eugeniusz, członkowie Zarządu: p. Wnuk Tymoteusz i p. Lisowski Władysław. Zebrani w dyskusji dali wyraz zrozumieniu, że Oddział nowy Związku na terenie Fabryki i miasta Będzina stanie się w imię dobra publicznego czynnikiem pracy społecznej i silnym wyrazem akcji zawodowej. Niewątpliwie rozwój Oddziału spotka się z przychylnym stanowiskiem władz państwowych i tych organizacyj, które łączy z sobą interes świata pracy i ogółu społeczeństwa.

17 czerwca odbyło się w lokalu Związku Legionistów w Będzinie zebranie informacyjne nowoutworzonego Oddziału, na które zostali zaproszeni członkowie i sympatycy Związku. Omówiono szereg aktualnych spraw i ustalono program pracy na najbliższą przyszłość.

W ZAKŁADACH HOHENLOHEGO W WEŁNOWCU POD KATOWICAMI

Przed niedawnym czasem na mocy decyzji Sądu Grodzkiego w Katowicach ustanowiono Zarząd Przymusowy w Zakładach Hohenlohego w Wełnowcu pod Katowicami.

Zarządcą Przymusowym został mianowany dr. Jan Zieleniewski z Siemianowic, który funkcję Zarządu Przymusowego spełniał do dnia 31-go stycznia 1939 r. w Zakładach Przemysłowych i Majątkach księcia von Pless w Katowicach, gdzie się dał poznać jako zdolny i energiczny zarządca, sanując skutecznie zawikłane interesy spadkobierców po śp. księciu von Pless.

Zakłady Hohenlohego w Wełnowcu winne są Skarbowi Państwa 30 milionów złotych za zaległe podatki: Właścicielem Zakładów jest znany potentat przemysłowy w Czechach, Petschek, który w tych Zakładach do dziś dnia jeszcze tolerował dużo elementów obcych, a nawet wrogo do polskości nastawionych.

Obecnie w Zakładach Hohenlohego przeprowadzona zostanie grutowna reorganizacja zarówno pod względem personalnym jak i gospodarczym. Fakt ustanowienia Zarządu Przymusowego w Zakładach Hohenlohego opinia publiczna przyjęła z zadowoleniem do wiadomości

O stosunkach, panujących do tej pory w tych zakładach, mieliśmy dokładne i szczegółowe informacje. Niestety nie były one wesołe. Przedstawiano nam dowody, iż niektóre jednostki prowadziły w nich akcję, którą możnaby zaliczyć do sabotażu.

Dobrze się stało, iż obecnie te stosunki ulegną gruntownej zmianie.

WYCIECZKA DO SZTOKHOLMU.

Na wycieczkę do Sztokholmu, zorganizowaną przez Obóz Zjednoczenia Narodowego, Oddział Propagandy, Referat Wczasów Morskich, wyjechał z ramienia naszej organizacji referent prasowy, kol. red. Hause Henryk.

Rokowania z Anglią a lotnictwo sowieckie

Nowe żądania Sowietów doprowadziły do ponownego zerwania rokowań angielsko - sowieckich. Mimo zapewnień czynników zbliżonych do ambasady sowieckiej, że podjęte na nowo rokowania przyczynią się do realnych wyników, — angielskie koła polityczne wyrażają się dość sceptycznie, co do pomyślnego wyniku porozumienia angielsko-sowieckiego. Zresztą, Anglia z dużą niechęcią wyraża się o Rosji, jako o sile sojuszniczej. Do stanowiska tego w znacznym stopniu przyczynił się fakt zestrzelenia w Mandżurii 49 samolotów sowieckich, co bardzo podważyło potęgę awiacji sowieckiej.

Niezwykle więc ciekawą jest rzeczą, jak w istocie wygląda lotnictwo sowieckie, tak usilnie reklamowane przez władze bolszewickie. Według ostatnich danych flota powietrzna Z. S. S. R. liczy obecnie 12.500 jednostek.

Większość samolotów sowieckich cierpi na bardzo poważne niedostatki. Tak jest z samolotami, należącymi do typu wywiadowczych, które odznaczają się ciężkością i nie mogą rozwijać większej szybkości. Próba podjęta przez sowieckie fabryki, która zamierzała do stworzenia nowego typu samolotów wywiadowczych, — spełzła na niczym. Nowy bowiem typ okazał się jeszcze gorszy od starego. Również i bombowce należą już do typów przestarzałych, nie nadających się do dzisiejszych potrzeb technicznych.

Jak donoszą niektóre dzienniki niemieckie, fabryki sowieckie produkują 1.000 samolotów miesięcznie. Jakość tych samolotów nie jest jednak należycie ulepszana. Cały bowiem sekret produkcji nowych aparatów polega na tym, że fabryki wzorują się na starych patentach, głównie francuskich i angielskich. wynik tej produkcji jest taki, że samoloty posiadają motory starego typu, nie są w stanie rozwinąć szybkości większej niż 600 klm/godz.

Niemniej ważnym czynnikiem, tamującym rozrost produkcji samolotów w Sowietach, jest brak kwalifikowanych robotników. Skutkiem braku niezbędnej siły robotniczej, Rosja Sowiecka nie może spożytkować swych bogactw, ani wielkich fabryk awiacyjnych w Moskwie, Gorkim, Woronieżu, Chabarowsku i Komsomolsku.

Ten katastrofalny stan sowieckiego lotnictwa, które w Mandżurii poniosło klęskę, — przyczyni się niemało do tego, że rząd sowiecki chcąc podnieść swój zachwiany autorytet wśród mas, stwarza ciągle trudności w rokowaniach z Anglią. Ale i Anglia nie spieszy się z pozyskiwaniem dla siebie sojusznika, który ciągle stawia inne żądania...

I. Ż.

USTAWA O ADOPTACJI

W końcu ubiegłego miesiąca komisja sejmowa zatwierdziła ustawę o adoptacji dzieci opuszczonych, wniesioną przez posła Jurkowskiego.

Ustawa ta stała się źródłem radości całego legionu zacnych ludzi, którzy, litując się nad niedolą „niczyjego" dziecka, przygarnęli je, kierując się początkowo tylko uczuciem litości, a później dopiero spostrzegli się nagle, że dziecko to zagarnęło dużą część ich serca, a tym samym przestało być „niczyje".

Ale więzy uczuciowe nie dawały podstawy prawnej do uznania dziecka „za swoje". I stąd przykrości, upokorzenia... W najlepszym dziecku docinki współtowarzyszy czy koleżanek w szkole musiały wzbudzić uczucie żalu i goryczy do losu.

„Myślałem, że to moja rodzona matka i ojciec i że zawsze będę się tak nazywał, jak oni!"... — biadało niejedno adoptowane dziecko, a los jego nieraz spędzał sen z powiek przybranych rodziców, zwłaszcza gdy w grę wchodziła jakaś sprawa pieniężna.

Od 1825 roku według Kodeksu Cywilnego Królestwa Polskiego, obowiązującego na terenie województw centralnych, dozwolone było adoptowanie dziecka dopiero po ukończeniu pięćdziesięciu lat przez adoptującego, a adoptowany musiał być pełnoletni. Innymi słowy: przez cały okres małoletności dziecka, przybrani rodzice mogli być narażeni na to, że rodzona matka albo ojciec z tych lub innych powodów mogą w każdej chwili dziecko odebrać... Ażeby uniknąć tej tragedii, nieraz uciekano się do fałszowania metryk, czy też aktów chrztu...

Ustawa majowa usuwa wiele przykrości, jakie sprawiał zacnym ludziom dotychczasowy stan rzeczy.

Małżonkowie w wieku od lat trzydziestu pięciu, będący małżeństwem co najmniej przez lat pięć i nie mający własnych dzieci, będą mogli adoptować małoletnich, pozbawionych rodziców. Również osoby samotne, lub małżeństwa poniżej lat trzydziestu pięciu będą miały prawo zalegalizować wzięcie „za swoje" jakiegoś opuszczonego biedactwa, jednakże dopiero po uzyskaniu sądowego pozwolenia.

Według wszelkiego prawdopodobieństwa sądy nie będą stwarzały trudności. Obecnie więc wszystkie Józki, Władzie czy Zosie, które obdarzają przybranych opiekunów najmilszym mianem: „mamusiu, czy tatusiu", będą mogły z całym zaufaniem i docenianiem ważności tych słów, nazywać ich: „moi rodzice".

Niejedna bezdzietna para małżeńska, tęskniąca za szczebiotem dziecka, otworzy teraz podwoje domu swego i będzie mniej o jednego nieszczęśliwego człowieka na świecie, bo wszyscy przecież wiemy, jaką tragedią jest zupełne osamotnienie...

An. Wal.

Kto ma prawo do zasiłku za osoby odbywające służbę wojskową?

Ostatnie posiedzenie Rady Ministrów zajmowało się projektem ustawy o zasiłkach dla rodzin osób, odbywających czynną służbę wojskową. Uchwalony projekt ustawy przewiduje:

Prawo do zasiłków służy rodzinom żołnierzy, którzy odbywają:

1) czynną służbę w rezerwie, w pospolitym ruszeniu, w pomocniczej służbie wojskowej oraz w uzupełniającej służbie wojskowej na ćwiczeniach doskonalących;

2) zasadniczą służbę wojskową w czasie mobilizacji lub wojny, jeżeli są jedynymi żywicielami rodziny a nie mogą uzyskać odroczenia służby wojskowej lub je utracili;

3) zasadniczą służbę wojskową jako ochotnicy w czasie mobilizacji lub wojny albo w przypadku, gdy tego wymaga interes obrony państwa, stwierdzony uchwałą Rady Ministrów.

Za rodzinę żołnierza uprawnioną do zasiłków, uważa się:

1) żonę, również i sądownie rozłączoną (separowaną), jeżeli mąż jest prawnie obowiązany do jej utrzymywania,

2) dzieci ślubne, uprawnione i przysposobione oraz dzieci nieślubne, których ojcostwo jest stwierdzone,

3) pasierbów,

4) rodziców i nieślubną matkę,

5) rodzeństwo,

6) rodziców matki i rodziców ślubnego ojca.

Prawo do zasiłków służy członkom rodziny żołnierza jeżeli:

1) posiadają obywatelstwo państwa polskiego bez względu na to, czy mieszkają w kraju, czy za granicą lub nie posiadają obywatelstwa państwa polskiego, lecz mieszkają w kraju — oraz

2) bezpośrednio przed odejściem żołnierza do służby wojskowej byt ich był zależny od jego pracy lub zarobku, lecz został zagrożony wskutek utraty lub zmniejszenia się tej pracy albo zarobku, spowodowanych okolicznościami, wynikłymi podczas jego służby wojskowej.

Prawo do zasiłków nie służy członkom rodziny żołnierza:

1) żyjącym w czasie jego powołania do służby wojskowej we wspólnym gospodarstwie, jeżeli jeden z członków tej rodziny otrzymał odroczenie służby wojskowej jako jedyny jej żywiciel.

2) dzieciom i pasierbom lub rodzeństwu, jeżeli ukończyli osiemnaście lat życia, chyba, że udowodnią, iż uczęszczają do zakładu naukowego lub pobierają naukę w zawodzie praktycznym, a nie mają utrzymania u swych pracodawców, ani też nie otrzymują wynagrodzenia, wystarczającego na utrzymanie. W tych przypadkach prawo do zasiłku służy im do chwili ukończenia nauki, nie dłużej jednak, niż do dnia, w którym ukończą dwadzieścia cztery lata życia.

Jeżeli z jednej rodziny odbywa służbę wojskową, uzasadniającą prawo do zasiłku, więcej, niż jedna osoba, rodzina jest uprawniona do zasiłku tylko za jedną osobę.

Rozporządzenie prawem do zasiłku na rzecz osób trzecich jest nieważne.

Osoby uprawnione do zasiłku obowiązane są niezwłocznie zawiadomić zarząd właściwej gminy lub urząd konsularny o wszelkich okolicznościach, które powodują zmniejszenie wysokości zasiłku, wygaśnięcie prawa do zasiłku lub zupełne albo też czasowe wstrzymanie wypłaty zasiłku.

PAMIĘTAJ O F. O. N.

Śmiać się czy płakać?..

Okazało się, że jednak postęp techniki w Niemczech jest imponujący. Rzesza nawet ufortyfikowane granice ma nowoczesne, o-pływowe. To znaczy, że można je opływać motorówkami, kajakami, łodziami podwodnymi.

Zgrzybiała Europa nie zna się absolutnie na humorze, ani na fortyfikacjach. Wyśmiewa się z niemieckiej linii Siegfrieda. Tymczasem właściwość tych fortyfikacyj polega na zaskoczeniu przeciwnika. Wrogi żołnierz przywiedzie tu najcięższe baterie, ale na próżno. Forty załamać się mogą dopiero z woli Boga, jeżeli skropione zostaną strugami deszczu! Niemieccy znakomici inżynierowie wiedzieli doskonale jakim podstępem można oszukać nieprzyjaciela.

Zaskoczyli go i oszukali...

To, co stało się ostatnio, było próbą generalną. Właśnie niezawodne okazały się żelbetowe gniazda, ukryte do połowy w ziemi, jak i cały betonowy wał obronny Siegfrieda. Spadł deszczyk majowy (w maju to wszystko było...) — kap, kap, kap — i oto zaraz wszystko rozpłynęło się...



Opływowa linia Siegfrieda

W Niemczech, w stanie płynnym są nie tylko fortyfikacje na linii Siegfrieda. Tam obecnie rozpływa się wszystko pod rząd, co robi rząd. Wypadek z fortyfikacjami nad Renem stał się symbolem ostatniej rozpływowej sytuacji. Wszystko, co mocne jak stal i co pewne jak... linia Siegfrieda, mięknie i rozlewa się.

Reżim pływa resztkami sił po wodzie sztucznych umocnień. Przeciętny Niemiec orientuje się w wartościach tych umocnień i mówi, że ta woda zalewa mu już uszy. Ale reżim też ma zalane uszy — nie słyszy. I ma zalane oczy — nie widzi. I cały jest zalany, jak... linia Siegfrieda.

To zalanie jest jednak desperackie. Na wszystkich frontach same porażki. W sercu jakaś tęsknota i pustka. W kieszeni to samo. Zalewają tylko ludziom, że wszystko jest na najlepszej drodze...

W ogóle, Niemcy żyją ostatnio pod znakiem wody. Chcieli upajać czy upijać się Bałtykiem. Tymczasem dziś zaczynają cierpieć na... wodowstręt Polski, że to rzecz s y r o w a i bez znaczenia. Ale do c z e c h razy sztuka — Austria, Czechosłowacja, Kłajpeda.

Gdańsk już ofiarowany został „fuehrerowi". Wymieniono kilka razy i tyleż razy prolongowano datę jego wkroczenia. Przestrzeń życiowa narodu wybranego (wybranego znaczy często to samo co wysortowanego), powiększona została teoretycznie o 1920 km. kwadratowych. Pomniejsi „fuehrerzy" mówią, mówią i mówią. Przekonywują się nawzajem, że właściwie już wszystko gotowe, już nie stoi na przeszkodzie... Nawet sam minister Goebbels, reprezentujący typ dzisiejszego Niemca: chudy, jak obywatel nie jedzący mięsa, wymokły jak fort na linii Siegfrieda, też powiedział w Gdańsku, wprawdzie bardzo cienkim głosikiem (też znamię epoki), że Gdańsk jest w przede dniu powiększenia „lebensraumu".

Wszystko jest niby w porządku. Tylko... sam Gdańsk nie kwapi się ochoczo do głodnego Vaterlandu. Gdańsk nie chce być rybą, która da złapać się na wędkę mów, programów, ideologii, nie mających niejakiej praktycznej wartości.

Zresztą, za Gdańskiem stoi wielka i silna Rzeczypospolita. Stoi zjednoczony lud polski, pytający coraz częściej, coraz bardziej natarczywie: „Kiedy Gdańsk wróci do Polski?" Kiedyż u diabła skończą się targi odwieczne, z podstępnym i chytrym Prusakiem o miasto, które zawsze wchodziło, wchodzi i musi wchodzić w ramy polskiego „lebensraumu"? Polak coraz częściej zastanawia się nad pytaniem: po co Gdańskowi jakaś tam wolność miejska? Po co senat, ustawodawstwo własne, własna policja i te wszystkie przestarzałe akcesoria autonomii średniowiecznej?

Gdańsk i Prusy Wschodnie — polska przestrzeń życiowa winny co rychlej wejść w granice Rzeczypospolitej.

Niemcy hitlerowskie są jak ten zegar, co nie je, nie pije, a chodzi i bije. Właściwie: rozbija. A jeszcze właściwiej: próbują rozbijać. Tylko ostatnio mechanizm tego zegara popsuł się nieco.

Pan kanclerz, chłopiec zajmujący — jak już wiele razy powiedziano — staje się coraz bardziej rozbrajający... Kawaler wielce obiecujący (sobie, 80 milionom i światu) rzuca hasła pokoju powszechnego i rozbrojenia moralnego...

Tak, można śmiało powiedzieć, że jest najbardziej — rozbrajający... Włochów!



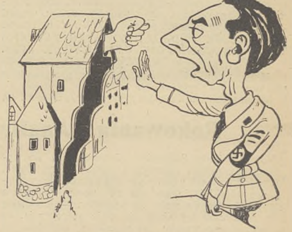
Miłość wszystko może...

Ciepłe noce weneckie sprzyjają znakomicie romansowi obojga kochanków. Rozbudzają w nich prawdziwą miłość i rozbudzają naturalną namiętność, pożądanie...

Przy tym, jak zwykle w takich wypadkach bywa, kochanek jest agresywniejszy. Kochanka traci zupełnie głowę, zapomina o całym świecie, o sobie, o swoim dobrym wychowaniu, o swojej przyszłości — krew nie woda! — pozwala się powoli rozbierać i, nie wiedzieć kiedy, w kompletnym zapamiętaniu, zamroczeniu umysłu, oddaje się kochankowi. I nawet szepce cichutko: bierz mnie... Bierz mnie i utul w swych ramionach...

Miłość wszystko może.

Pierwsze jaskółki już są. Ileś tam setek tysięcy wojska niemieckiego skoncentrowało się w granicach Włoch. Niemcy otaczają Włochy prawdziwie ojcowską opieką. Posyłają im już wszystko, co mają najlepsze: okręty wojenne, samoloty, bombowce, ciężką artylerię, piechotę. Nawet chcą im ofiarować, w dowód głębokiej miłości, naczelnego dowódcę ich sił zbrojnych...



Goebbels, mowa i... figa gdańska

Ale jednak przeciętny Niemiec, nie upojony bynajmniej podbojami, zapytuje:

— Co będzie dalej?

Na to nikt nie umie odpowiedzieć konkretnie.

Walka o „przestrzeń życiową" staje się w Niemczech coraz bardziej niepopularna. Wszystkie ostatnie uderzenia chybiły celu.

Pytając „co będzie dalej?", przeciętny Niemiec nie myśli już zresztą o nowych zdobyczach, o „lebensraumsel", ale niepokoi się: co będzie dalej z Niemcami?

— Jesteśmy coraz bardziej okrążeni! — wołają. — Jesteśmy w śmiertelny pierścieniu wrogów.

— Trudno — odpowiada Europa. — Sami wykuliście ten pierścień wrogów: Austria, Czechy, Kłajpeda... Te kraje okrążyły was i ściskają teraz śmiertelnie...

A butny szturmowiec hitlerowski, co nie zapomniał jeszcze smaku szynceli wiedeńskich, knedli czeskich, kołdunów litewskich i tej całej, wspaniałej wyżerki w podbijanych krajach, woła, mimo wszystko, na całe gardło:

— Gdańska! Pomorza! Słowacji!...

Poważni ludzie nie tylko na świecie, ale i w samych Niemczech nie traktują już poważnie tej całej niepoważnej polityki.

Wychodzą z założenia, że w Trzeciej Rzeszy wszystko jest ersatzem. I przyrzeczenia i deklaracje. I polityka i rząd.

I, że wszystko, co wygląda na zewnątrz groźnie, potężnie, jest w gruncie sprawy namiastką grozy i potęgi.

Jak linia Siegfrieda.

WACŁAW ŚLEDZIŃSKI

PRZEDPŁATA WYNOSI: rocznie zł 2.40, półrocznie zł 1.20, kwartalnie zł 0.60, miesięcznie zł 0.20.
PRZEDPŁATA ZA GRANICĄ: rocznie — zł 3, półrocznie — zł 1.50.
1 egzemplarz — 10 gr.

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: Warszawa, ul. Matejki Nr 10, telef. 888-28. Sekretaria redakcji czynny codziennie oprócz świąt i środy w godzinach od godz 16.30 do 20. Konto PKO 695. Pocztowy przekaz rozrachunkowy Nr 225. Redakcja rękopisów nie zwraca. Za dział ogłoszeń nie odpowiada
Redaktor Naczelny i Wydawca: JÓZEF SOSNOWSKI. Red. odp. Ludwik Jakubowski.
Druk. Dom Prasy S. A. Warszawa.